№ 2.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 25. Stycznia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Czytelniczek Dziennika Domowego nielubimy wprowadzać na pola umiejętne, ani głębokie pytania czasowe, ale staramy się dawać objaśnienia takie, któreby mogły posłużyć do należytego rozumienia bieżącéj literatury. Od dawnego czasu i coraz bardziéj podnoszą się chałasy przeciw przywilejowi. Widać atoli równie u tych, co bronią przywileju, jak u tych, co na niego powstają, iż nawet nierozumieją co ten wyraz znaczy. Gdyby on był należycie zrozumiany, musiałby każdy przyznać, że przywiléj zbawiał ludzkość, ale kto go dziś broni, ten robi jak ów uczony żołnierz, co po wynalazku prochu, po udoskonaleniu artyleryi, po zaprowadzeniu rakiet i używaniu bawełny zapalnéj, wpada na gruntowne dowody, że łuki, włócznie i kusze, któremi wielkie kamienie ciskać można, są najskuteczniejszemi narzędziami wojennemi. Było to wszystko wyborne, ale zostało całkiém zużyte przez postęp ducha ludzkiego i dla tego, że umiemy w przedmiocie wojennym daleko więcéj, na nic się niezdadzą te początkowe odrobiny umiejętności bojowéj. Łuk, kusza, choć tak różne od działa, palnéj broni i bawełny zapalnéj nie są rzeczami im w prost przeciwnemi, ale są ich pierwiastkami. Jedno i drugie jest narzędziem wojenném, bronią: tylko, że to początkową, a drugie z końca postępu. Ktoby gwałtem wracał do tych starych narzędzi, tenby niszczył dzisiejszy wysoki postęp sztuki wojennéj. Otoż tedy przywiléj i prawo obywatelskie, albo raczéj prawo człowieka stoją do siebie zupełnie w tym stosunku, co kusza do działa najdokładniejszego. Prawo człowieka rozwinęło się z przywileju, choć niby rozumowo patrząc, przywiléj jest całkiém przeciwny prawu człowieka.

Był czas, kiedy ludzie żyli bez prawa, niemogła się utrzymać własność, nikt nie był pewien zdrowia i życia; mocniejszy brał wszystko słabszemu, bił go i zabijał. W takim stanie rzeczy ten znaczył najwięcéj, kto swemi stosunkami potrafił sobie zjednać największą liczbę stronników i pokonywał wszystkie inne stronnictwa. Naczelnik najmocniejszego oddziału obejmował władzę nad wszystkimi. Powoli naczelnikowi nie siła fizyczna, ale siła moralna duchowa, przydawała potęgi, to jest więcéj miał stronników, im bardziéj bronił niewinnego, słabego przeciw zbrodniarzowi przeważnemu. Naczelnik kraju wchodził więc niejako w układy z mieszkańcami, że jeżeli będą wypełniali względem niego pewne umowione obowiązki, to ich z osobami, familiami, własnością będzie zasłaniał przeciw nadużyciu drugich. Świadectwo o takiéj ugodzie wydane na piśmie, dostało nazwisko przywileju. Rzecz i cały ten stosunek pozostały we wiekach średnich w Europie chrześciańskiéj; że atoli przywiléj w prawie rzymskiém znaczył, co innego, przeto ludzie pomięszali i dziś mięszają przywiléj rzymski, martwy i spróchniały, z przywilejem średniowiecznym, który nam się dziś jeszcze czuć daje.

Ów średniowieczny przywiléj był zbawieniem ludzkości: dawano go naprzód pojedyńczym ludziom, familiom, rodom, ale póżniéj przy rozwijaniu się społeczeństwa, tworzyły się stowarzyszenia i bractwa kościelne, zakonne, miasta, cechy, bractwa naukowe, szkolne i t. d. Te aby były bezpieczne od ludzi łupieżców bez moralności i aby miały utrzymanie, musiały sobie od najsilniejszego w kraju także wyjednać przywiléj.

Owoż tedy nagromadziło się pełno przywilejów, a ludzie przez religią, oświatę, uobyczajenie, tak się wyrobili, że rozboje, zajazdy, bijatyki, grabienia cudzéj własności, zaczęły się pokazywać bardzo rzadko i jako coś szczególnego. Przywiléj stał się prawie niepotrzebnym na obronę, lecz zaczął obracać się przeciw tym, co go niemieli. I tak dawniéj kto dostał przywiléj na sędziego, ten ściągał sobie wielkie koszta i każdy mu je chętnie płacił, bo było wielkie niebezpieczeństwo żyć bez sędziego; późniéj atoli kraj był już daleko mniéj zagrożony od bezprawia, ale koszta się utrzymały. Kto prowadził kupca z towarami przez wielki bór przepełniony rozbójnikami i zasłaniał go od nich, ten brał znaczne cło, ale późniéj niebyło śladu rozbójników, powycinano bory, nikt kupca niezasłaniał, a cło pozostało. Rycerz co siedział w zamku warownym, bronił granic kraju i każdego obywatela w pobliżu od najazdów, a dla tego cała okolica, jego wieś dawała mu dla koni owies i siano, na kuchnią dla sług zbrojnych bydło, zboża, warzywa, na inne potrzeby pieniądze; pomagała mu przy stawianiu i naprawie jego budynków, tymczasem rycerz porzucił swoje zatrudnienie wojenne względem kraju, zbijał z gospodarstwa pieniądze, albo nie z mieczem po ziemi tatarskiéj, ale z lorynetą biegał po teatrach paryskich, a przecież od swéj okolicy, od swojéj wsi wymagał dawnych danin, pieniędzy, posług czyli pańszczyzny. Tym sposobem przywiléj jak został przy samych korzyściach, a porzucił swoje obowiązki, stał się ciężarem. Trzeba tedy przywiléj nadać teraz już wszystkim ludziom, to jest znieść go; przywiléj zaś wszystkich zowie się prawem człowieka i właśnie leży przed nami epoka, która się ma zajmować z rzeczywiszczeniem tego prawa.

Panna respektowa.

Powiastka z domowego życia.

przez L. SIEMIEŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Stary słuchał perory w milczeniu i tylko wąsa pokręcał a głową kiwał, matka tuliła główkę Magdusi do piersi i łzy na nią roniła; bracia stali na uboczy i radzili po cichu. Po całéj okolicy rozleciała się piorunem wieść o wyjeździe Magdusi do Warszawy; jedni zazdrościli jéj świetnego losu, drudzy cieszyli się; inni na złe wróżyli; a wszystie przyjaciółki dzień w dzień zjeżdżały się z powinszowaniami i pożegnaniami. — Z tém wszystkiém lubo rzecz była na stole, pan Snopkiewicz bił się z myślami po całych dniach i nocach, ciągle posyłając po proboszcza, z którym roztrząsano wszystkie *pro* i *contra;* stanęło nakoniec po całotygodniowych rosprawach, długich wahaniach się, płaczach i błogosławieństwach, że Magdusia pojedzie do Warszawy.... Serce matczyne stawiło jeszcze opór cichémi łzami; bracia niemogli się zgodzić i jak boży dzień spór wiedli czy ma jechać, czy nie; wszystkiemu położył koniec ojciec, który przypomniawszy sobie jako w początkach gospodarstwa wyzdychało mu bydło, a do tego nieurodzaj dotknął, tak iż niebyło czém zapłacić dzierzawy, litościwa podczaszyna nietylko zwolniła go z rocznéj sumy, ale nadto zapomogła setkiém obrączkowych dukatów. Argument był wymowny i niezbity, zwłaszcza dla serc wdzięcznością tkniętych; ustąpiła opozycyja, i zaraz w całym domu zaprzątnięto się około przyborów do wyjazdu Magdusi.

— Któż odwiezie ją do stolicy? — wielkie pytanie, wielka rosprawa między panem ojcem i panią matką. Warszawa! ten wyraz miał coś solennego, coś przerażającego, coś uroczego, coś niepodobnego jak sen dla poczciwych domatorów. Pan Snopkiewicz proponował z razu: Jéjmość kochanciu odwieziesz dziecko. — Jéjmość odpowiadała: jak jegomościunio każesz; ale jak ja się tam obrócę, kiedym nigdy niewidziała Warszawy? — Masz waśani słuszność — zabłądziłabyś, co tam ulic! a żydostwa!... zarazby co skradli lub otumanili; gdyby tak z naszym arędarzem? Cóż ty na to? on to zna Warszawę na aplcach, jeździ przynajmniéj cztery razy do roku.... — Nieźlećby to wypadło — odprze jéjmość — jednak jakoś, choć niby Herszko poczciwe żydzisko, niewypadałoby dziecko nasze przez niego w dom takiéj pani posyłać.... Cóż, jak się jegomości zdaje.... — Prawda! przez żyda, własne dziecko, jakby towar jaki, to niema sęsu.... Już trzeba będzie opuścić gospodarstwo i młockę, a samemu ruszać; trudna rada... nieprawdaż duszko?... — Oto niemiéj kłopotu jegomościuniu, dzieci cię zastąpią; a lepiéj się stanie gdy za dzieckiém przemówisz słowo u pani i sam w ręce ją oddasz.

Zaczęto zatem robić przybory na drogę dla jegomości. Gdy dzień wyjazdu nadszedł, zajechały przed ganek szérokie łubiaste sanie tęgą trójką fornalską zaprzężne. Tego dnia wszystka robota przy gospodarstwie ustała; a mnóstwo z sąsiedztwa przyjaciółek Magdusi zjechało się na pożegnanie. Cały dom był w poruszeniu; wynoszono węzełki po węzełkach; w jednych była garderoba Magdusi, w drugich wiktu-

ały na drogę. Już jegomość wdział na siebie wilczurę, i włożył na głowę ogromną lisią kapuzę, kiedy Magdusia otulona różnokolorowemi chustkami że tylko jéj nosek było widać, żegnała się po kolei z matką, braćmi, domowymi i przyjaciółkami, wśród nieskończonych szlochów, błogosławieństw i przestróg. Na samym końcu wystąpił ksiądz proboszcz, a wziąwszy ją za rękę, miał śliczną przemowę o jéj nowym zawodzie, o niebespieczeństwach i pokusach światowych. — Córko moja — mówił on — żyj w niewinności i bojaźni Boga, staraj się o miłość u ludzi, a otrzymasz w tym życiu pociechę wewnętrzną, a w przyszłym nagrodę. —

Przemowa ta wzruszyła obecnych do głośnego płaczu; wszyscy ściskali i błogosławili odjeżdżającą, matka przybiegła raz jeszcze, przycisnęła do serca, coś chciała powiedzieć, ale łkanie niedało jéj dokończyć, padła więc na ławkę i oczy zakrywszy w głos szlochała....

Jegomość przeżegnawszy swoich, dawszy parę poleceń względem gorzelni i młocki, już zasiadł w saniach i wołał na Magdusię aby się spieszyła, bo na nocleg niezdążą. Magdusia wydarłszy się z objęć tylu serc przychylnych stawiała już nogę w saniach, kiedy nagle tuż prawie, rozległ się płacz żałośny jakby dziecięcy; wszyscy obrócili się ciekawi kto to taki? aż postrzeżono szesnastoletniego Michasia studenta ze szkół Łukowskich, a syna właścicielki sąsiedniego przysiołka. Michaś dowiedziawszy się o wyjeździe Magdusi, przybiegł ją także pożegnać. Dzieci te chowały się zawsze razem; razem uczyły się czytać, razem czas wakacyi spędzały na zabawkach i igraszkach; a z tąd wzrosło z latami osobliwe przywiązanie między niémi. Magdusia na dziewczynę szesnastoletnią więcéj rozwinięta i już patrząca wyżéj, traktowała Michasia jak dziecko, lecz taki zawsze lubiła pustować z nim i przypominać sobie dziecinne swawole. Michaś znowu nieśmiały i wstydliwy studencik, lubo kochał ją jak siostrę, bał się z razu należyć do uprzywilejowanéj kompanii, która ją żegnała, i tylko przyczajony w kącie patrzał na cały ten obraz; lecz kiedy ujrzał ją wsiadającą do sanek, przemogło uczucie, wybiegł z za węgła — rozbeczał się na głos, a Magdusia wzruszona podała mu obie ręce i rzekła: bądź zdrów Michasiu, niedesperuj, zobaczymy się! — Chłopak uchwycił jéj dłonie, przycisnął do twarzy, jakby chciał ucałować, lecz odbiegła go siła i puścił je całe łzami oblane, sanki tymczasem ruszyły po skrzypiącym śniegu....

III.

Chcieć opisywać podróż do Warszawy odbywaną po wybornéj sannéj drodze, ze wszystkiemi szczegółami popasów, noclegów, rachunków z karczmarzami, na końcu przygodę z urzędnikami kabakowymi na rogatce od Pragi, byłoby to wkraczać w przywiléj poczciwego pana Snopkiewicza, który mu służył przez lat dziesiątek, przywiléj opowiadania każdemu kogo spotkał, lub przyjmował u siebie, trzeciéj i ostatniéj wycieczki do stolicy kongresowego królestwa. Dla tego wybaczą czytelnicy, że wszystko pominę, aż do chwili, gdy podróżni nasi przybili do portu jednego z małych zajezdnych domów na przedmieściu. — Pan Snopkiewicz dopatrzywszy, aby koniom dano dobre miejsce przy żłobie, kazawszy poznosić tłumoki do izby naprzód wytargowanéj, przebrał się sam w granatowy kontusz, nałożył téjże barwy czapkę z czarnym barankiem i wziąwszy trzcinę z dużym kutasem, naglił na Magdusię, aby czemprędzéj toaletę swoją kończyła. Wyszedłszy oboje na miasto, po różnych dopytywaniach się przybyli do pałacyku pani podczaszyny, którego wesoła i elegancka powierzchowność miłe zrobiła na dziewczęciu wrażenie. Zdawało się, że podczaszyna przyjazd ich odgadła przeczuciem, bo ledwie weszli do sieni, już staruszka sama naprzeciw nich wybiegła; Magdusię pochwyciła w ramiona i uściskała jakby własne dziecko, a pana Snopkiewicza kiedy jéj się skłonił do kolan i rękę całował, cmoknęła w łysinę.

— Witajże ojcze! witaj córko! Chodźcie! siadajcie! mówiła uradowana podczaszyna — możebyście co przejedli, — Kawę niech podadzą: napijcie się dobréj kawy.

I starego posadziła przy kominku, a Magdusię przy sobie na sofce, którą głaskała i pieściła, wypytując czy ją sobie zachowała w pamięci; czy bardzo tęskni za domem, czy się jéj Warszawa podoba? Dziewczyna siliła się na odpowiedzi jak mogła, lecz uwaga jéj ciągle była rozrywaną widokiem spaniałych salonów; dziwiły ją niemało ogromne wzorzyste kobierce, a najbardziéj lustra od góry do dołu, które jéj zgrabniuchną postać po kilkanaście razy odbijały. Niemniejszego wrażenia doznała w słodkiem i uprzejmém obejściu się podczaszyny; dobór wyrazów, przytém zniżenie się do prostoty dziecka, wyraz dobroci i łagodności malujący się w każdym ruchu staroświeckiéj matrony, były to rzeczy, o jakich ani słyszała na wsi, gdzie prostoduszna rubaszność panuje w miejscu grzeczności i dobrego wychowania wielkiego świata. — Przy bystrem swém pojęciu, zaraz odga-

dla Magdusia, że mówi z istotą zupełnie inną od znanych dotąd; a że miała ową powszechną zdolność w młodych do naśladownictwa, więc po godzinnéj pogadance z podczaszyną, już schwyciła jéj ton, i usiłowała kształcić się podług wzoru, jaki jéj się przedstawiał. Wiejska sztywność i nieśmiałość ustępowały powoli i dziéwcze coraz swobodniejsze przybierało ruchy i przytomniéj zaczęło odpowiadać; w końcu rozgadała się na dobre, i tak ubawiała staruszkę, że ta kładła się od śmiechu, przysięgając, że już niepamięta nawet kiedy była w tak różowym humorze. — Pan Snopkiewicz wcześnie odszedł do swojéj gospody, chcąc rzeczy przysłać Magdusi, która została na noc z podczaszyną; dziewcze więc gawędziło jeszcze jakiś czas, lecz znużone drogą, oczki zaczęło mrużyć, i głowę chylić na sofę, co postrzegłszy staruszka, wzięła ją za rękę, zaprowadziła do bardzo ładnego pokoiku, pocałowała w czoło, i rzekła odchodząc: wypocznij sobie moje dziécie, póki sama zechcesz, ja cię niekażę budzić.

Po odejściu podczaszyny, weszła garderobianna, i zaczęła ją rozbiérać; Magdusia przywykła w domu sama robić swoją toaletę strasznie była zaambarasowaną, mianowicie, gdy służąca uklękła i zaczęła jéj rozwięzywać trzewiki. Jednakże pół śpiąca, dała wszystko ze sobą zrobić. Już była położyła się, kiedy raz jeszcze otworzywszy oczy, rzuciła wzrok przelotny po swoim gabineciku, i ze zdziwieniem postrzegła złocone meble i ogromne lustro, nad którem rzeźba wyobrażała parę amorków — i tak marząc o amorkach i lustrach, usnęła przyjemnémi sny ukołysana.

Na wsi zwykle skoro świt wstają; nasza wieśniaczka obudziła się nazajutrz równo z ptaszkami. Piérwsze spojrzenie rzuciła na źwierciadło i powitała wdzięcznym uśmiéchem swoją powabną twarzyczkę. Niebawem nadeszła garderobiana i przygotowała jéj wszystko do ubrania; w dużéj srebrnéj miednicy była woda do mycia, mydełka pachnące, różne perfumy i wódki i wszystko co najwybredniejsza elegantka zażądać może. Magdusia wstydziła się wstępnéj swéj toalety odprawiać w przytomności służącéj, więc oddaliwszy ją, jak dziecko zaczęła się w wodzie pluskać, mydełkami naciérać i oblewać wonnościami, a co chwila zaglądać w zwierciadło. Właśnie z miłem zadowoleniem przyglądała się swéj łabędziéj i białéj szyjce, która pod migdałową mączką jeszcze bardziéj zbielała, gdy w tém, drzwi się otwarły na oścież i wszedł piękny mężczyzna w mundurze ułańskim.... Magdusia krzyknęła przeraźliwie i poskoczyła schować się za pawilon. — Ułan, który już był w pół pokoju, cofnął się ku drzwiom, wybąknął: przepraszam — myślałem, że tu nikogo niéma. — A chociaż ułan, zarumienił się po same uszy, Magdusia także spiekła raczka; — i na tém koniec przygody.

IV.

Na tym biednym świecie, rzecz arcy trudna i niemiła dla wszystkich, a mianowicie dla młodych podlotków, jest utrzymanie się w granicach rozsądku; aby być rozsądnym, lub rozsądną kosztuje dużo pracy i umartwień, gdy przeciwnie do głupstwa najłatwiéj się przychodzi, byleś sobie popuścił wodze. Homer powiada, że Syzyfus był najmędrszym z ludzi; a jednak poeci każą mu ustawnie wtaczać ogromną skałę na szczyt góry, z któréj zawsze spada na biedaka, aby ją wtaczał na nowo. Niewątpię, że przez tę alegoryję starożytni wyobrazili sobie mądrość. Bo czémże zaiste jest mądrość jeżeli nie ową skałą, którą dźwigamy, aby nam spadała na głowę? Otém wszakże niezapominamy, że od chwili, kiedy się nam z rąk wymknie, nikt nam niepoliczy długich lat strawionych na jéj dźwiganie; przeciwnie zaś, niech głupiec zrobi przypadkiem coś mądrego, wszyscy go pod niebiosa wynoszą. Głupstwo wcale nie jest syzyfowym kamieniem, lecz raczéj bańką mydlaną, która unosi się przed nami ubarwiona kolorami tęczy. Zdarza się, że bańka niekiedy pryśnie i zabryzga nam oczy; lecz natomiast tworzy się inna, którą, aby utrzymać w powietrzu, dość jednego tchnienia.

Filozoficzne te uwagi mają dowieść, iż nic niebyło dziwnego, że się Magdusia zajęła cokolwiek dziarskim ułanem, który tak niespodzianie naszedł ją przy gotowalni; służą one niemniéj do ułagodzenia zbyt ostrych zdań, z jakiemi mógłby kto przeciw niéj wystąpić. Wiemy, że jeźli miłość wmiesza gdzie swoje trzy grosze, niepotrzebuje niczyjéj pomocy, ani protekcyi; miłość sama sobie radzi; zamykaj nie zamykaj drzwi, zawsze się wśliźnie; tą razą miłość wśliznęła się przez okno; zobaczymy jakim sposobem.

Ów piękny mężczyzna w mundurze drugiego półku ułanów, był pan Stanisław syn podczaszyny, który po wielu trudnościach wyplątawszy się z romansu, pędem wiatru, a raczéj sanek, przyleciał do matki. Przeznaczenie tak chciało, aby gabinecik Magdusi był w jedném skrzydle pałacyku, a mieszkanie ułana w drugiém skrzydle zupełnie okno w okno, i w niewiększém oddaleniu nad trzydzieści kroków. Magdusia zwykle obiad jadła z podczaszyną i już całe poobiedzie do nocy spędzała w jéj towarzystwie; lecz od rana do południa ciągle siedziała u siebie. Że zaś pan Stanisław cały ranek także spędzał w swoim pokoju,

przeto Magdusia najbardziéj lubiła szyć przy oknie i często gęsto spoglądać na sąsiada.

Sąsiedztwo od wiek wieków bywało przyczyną różnych nieszczęść; niemasz nic niebespieczniejszego, jak piękna sąsiadka, a nawet i brzydka; gdy patrząc na nią ciągle, prędzéj lub późniéj upatrzymy w niéj, że niejest tak szpetną jak się wydaje. Sąsiedztwo pana Stanisława groziło dla serca Magdusi wielkiem niebespieczeństwem. Ileż to razy z po zafiranki, nieunosiła się nad jego miękkiemi i połyskującemi włosami, które gładził przy oknie; ileż myśli nienastręczał ten pokrętny wąsik, pod którym uroczy się rozpromieniał uśmiech; a taż pierś szeroka, ta figura wcięta, tak przecudnie wydające się w ułańskim mundurze! Możemy sobie wyobrazić jakiemi złotemi snami kołysało się biedne dziewcze w chwilach samotnych godzin; co tam zamków brylantowych! co tam scen najczulszych! że i największy romans by ich nie objął.

Pan Stanisław zwykle obiadował u matki, potém wychodził na miasto na cały wieczór, że zaś Magdusia nigdy niemogła usnąć póki niewrócił, więc czekała przybycia jego zawsze w swojém oknie; dla tego nieraz ułan nasz wracając o późnéj godzinie, a widząc światło u niéj, mówił przechodząc przez dziedziniec: Cóż to się znaczy, że to dziewcze nieśpi? Dziwne pytanie! dziwna niedomyślność, jakżeż mogła usnąć, niepowiedziawszy mu w sercu dobranoc?! — Zdarzało się czasami, że ułan gładząc sobie wąsy, lub zawiązując chustkę przy oknie, rzucił na Magdusię spojrzenie rostargnione, które ją przeszywało aż do saméj głębi; w takim razie dziewczyna natychmiast odwracała główkę i wolałaby skonać na miejscu, niż ten wzrok wytrzymać. Takiemi to urojeniami stroiła ona samotność swoją; lecz w salonie wcale było inaczéj. Siedząc obok podczaszyny, usiłowała zachować powagę, skromność i słuchać niezmordowanie opowiadań staruszki. Gdy pan Stanisław do niéj przemówił, odpowiadała przytomnie i trafnie; lecz co najosobliwsza, bez najmniejszego pomięszania i wzruszenia. Niechże tu kto wytłumaczy, co się tam dzieje w głowie szesnastoletniéj; miłość jéj, że tak powiém, zamykała się w jéj pokoju; znachodziła ją wchodząc doń, a zostawiała wychodząc.

Można wnosić nareście, że obecność i widok podczaszyny powinien ją był robić uważną i dawać wiele do myślenia; albowiem dość było spojrzyć na damę wyższego świata, aby widzieć przestrzeń dzielącą biedną Magdusię od jéj syna. Kto inny niż ona wpadłby był w rospacz z tego powodu, albo wyleczyłby się z namiętności, przewidując jéj koniec; lecz Magdusia nigdy niebadała do czego ją ta miłość doprowadzi; i zaiste jestże próżniejsze zaufanie jak to, które zwykle rozkochanym zadają: na co ci ta miłość? — Na co? o dziwni ludzie! ażeby kochać.

Magdusia codziennie za pierwszém ócz otwarciem, wybiegała z łóżka i odsłaniając firanki u okna, patrzyła czy u pana Stanisława okienice otwarte. Jeżeli były zamknięte, znowu się kładła, usypiając lekko jak ptaszek na gałęzi i budząc się za pierwszem okienicy skrzypnięciem. Wtenczas wstawała na dobre i wziąwszy ranny szlafroczek, otwierała okno i wychylała się, jakby chcąc się dowiedzieć czy pogoda na dworze. Poczém stawiała przy oknie zwierciadło i rozczesywała piękne swe warkocze. W niewiadomości swojéj nierozumiała tego, że wyéwiczona zalotnica pokazuje się wtedy tylko, gdy jest w stroju zupełnym. Zakryta zwierciadłem, czasami zérknęła oczkiem, lecz je zaraz spuszczała, gdy pan Stanisław patrzał. Ugładziwszy włosy, kładła ranny czepeczek; i brała książeczkę od modlenia i wtenczas niewiadomo czy więcéj myśli biegły za okno, czy do nieba. Jeżeli piła kawę u siebie, co się często zdarzało; więc ze wchodzącą sługą, która takową przynosiła, wlatywał angielski wyżełek pana Stanisława, ujęty przez Magdusię różnemi przysmaczkami. Z nim dzieliła się śniadaniem; szczoteczką gładziła mu długie uszki, pieściła, głaskała, a niekiedy i pocałowała w główkę, zwłaszcza jeżeli okno było otwarte i kto patrzał... I byłaż to rostropna dziewczyna? — Zapewne że rostropna, uczciwa i niewinna. — Ależ te wyraźne zaloty? — Miłość musi się przez coś objawiać. A gdyby pan Stanisław poznał się na tém i chciał korzystać z jéj skłonności? — Natenczas, byłaby mu niezawodnie dała odkosza. — Dziwne to serce szesnastoletnie, nikt powiedzieć niemoże czego mu się zachciéwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sztuki piękne i przemysł
W PARYŻU.

W zawodzie sztuk pięknych w najnowszym czasie zwróciła na siebie uwagę powszechną Agnes de Meranie Ponsarda. W przeszłym roku, jak wiadomo, wystąpił Ponsard ze swą pierwszą sztuką „Lucrezia", którą akademia francuzka uwieńczyła, dla tego też obudził ciekawość Paryżan do najwyższego stopnia swém drugiém dziełem. Do rozsławienia autora przyczynił się jeszcze process rospoczęty pomiędzy autorem téj sztuki i dyrektorem teatru Odeon z jednéj, a aktórką Araldi z drugiéj strony, o którym wszystkie

gazety szeroce się rozwodziły. Panna Araldi, dawniéj aktorka na prowincyi, powołaną została przez pana Boccage, dyrektora teatru Odeon do Paryża, aby występowała w głównéj roli sztuki Ponsarda, jeżeliby sposób odegrania jéj spodobał się autorowi. W razie niedotrzymania układu, obowiązał się dyrektor jéj zapłacić 50,000 fr. wynagrodzenia. Z początku miał zamiar Ponsard oddać tę rolę do odegrania pannie Araldi, późniéj się inaczéj namyślił i spowodował dyrektora do oddania téj roli pani Dorval. Panna Araldi zaskarzyła o wynagrodzenie i sąd przyznał jéj 50,000 fr., ale w drugiéj instancyi przegrała swą sprawę, a sztukę wystawiono. Nigdy nie było podobnego natłoku w teatrze Odeon, jak podczas przedstawienia Agnes de Meranie. Królewiczowie, parowie, ministrowie, uczeni i autorowie zgromadzili się tego wieczora. Na twarzach malowała się więcéj jak zwyczajna ciekawość. Każdy chciał wiedzieć, czyli Francya posiada w rzeczy samej nowego poetę, jakiego zapowiadano przy wystawie jego Lukrecyi. Przedmiotem sztuki jest zdarzenie z czasów Filipa Augusta. Król ten rozłączył się ze swoją żoną Ingeborg duńską i następnie ożenił się z Agnes de Meranie. Arcybiskup paryski pobłogosławił ten nowy związek. Za panowania papieża Celestina nie wszczęto żadnego sporu z powodu tego małżeństwa, ale kiedy Innocenty III. wstąpił na stolicę apostolską, pobudzony przez Ingeborg, wezwał króla, aby oddalił swą Agnes i żył z pierwszą małżonką. To jest główny spór i węzeł w téj trajedyi. Filip opiera się rosporządzeniu papieskiemu, z tego powodu rzuconym zostaje interdikt, który cięży na kraju i pociąga za sobą rostrój pomiędzy tronem i wazalami. Po długiéj, wewnętrznéj walce ma zamiar Agnes opuścić zamek królewski; lud chce się na niéj zemścić za interdikt na nim ciążący, kiedy król w sam czas przybywa i wstrzymuje żonę od ucieczki. Legat papieski ma złożyć króla z tronu, ale Agnes błaga o chwilę namysłu i truje się. Sztuka jest z wielkim talentem dramatycznym i retorycznym wypracowana i zawiera piękności, którychby się nie powstydził żaden z znaczniejszych francuzkich poetów; zarzucają atoli Ponsardowi i słusznie rozwlekłość, klóréj niepodobna było uniknąć podczas tak długiéj sztuki, przy prostéj nader akcyi. Trajedyi téj można jeszcze jeden błąd zarzucić z najwyższego szczytu sztuki, o którym przepomniano w krytykach francuzkich, iż niewinna osoba pada ofiarą. Agnes, któréj małżeństwo pobłogosławił arcybiskup paryski, nie mogła przeczuwać, że wpada w sprzeczność z prawem. W czém przeto zawiniła, a wina być powinna z powodu dramatycznéj sprawiedliwości. Być może, że poeta miał zamiar wydatniéj wystawić winę owoczesnych wieków. — Aktorowie nie odpowiedzieli oczekiwaniom. Pan Boccage z powodu chrypki niezrozumiale mówił, tak, że zaledwie połowę dosłyszano, pani Dorval z powodu niedostatku wyrazu w twarzy nie uczyniła wrażenia i powszechnie mówiono, że panna Araldi dalekoby lepiéj odegrała tę rolę. Najnowsza komedia Merego: L'univers et la maison, nie udała się w teatrze Odeon. Toż samo powiedzieć można o tak zwanéj operze nowéj Rossyniego „Robert Bruce", którą w tych dniach wystawiono w Paryżu. W wielkiej operze był natłok nadzwyczajny. Rossyni wymówił się od wszelkiéj odpowiedzialności za to dzieło i nic nie uczynił, oprócz pożyczenia kilku swych starych oper, z których Niedermayer powybierał arie, połączył je jak mógł, tak że całość wyglądała nakształt brylantów oprawionych w ołów. Uwerturę złożył Niedermayer z motiwów Zelmiry i Donny del Lago. Po odkryciu sceny, słońce wschodzące oświeca szczątki wojska szkockiego. Ranni żołnierze i wycieńczeni górale czołgają się po górach i wyglądają wybawiciela. Nagle pokazuje się Robert Bruce, na którego widok zwyciężeni nabierają otuchy. Pierwszy śpiew wzięty jest z Zelmiry, lecz o trzy tony niżéj, i dla tego traci zupełnie na uroku. Po recitatywie Niedermayera następuje chór z Donny del Lago, z nim się łączy recitatiwo Niedermayera, gdy w tém przybywa Artur wierny rycerz Edwarda i kochanek Maryi, córki czarnego Douglasa, który nie wie czy kochać się, czy dopełnić obowiązku. Marya śpiewa wyborne „o mattutini arbori" z Donny del Lago. — W drugim akcie śpiewa Douglas arią z Torwaldo e Dorlisca, która się podobała, a Marya sławną arią z Donny del Lago: o quante lagrime. Pani Stolz śpiewaczka nie oddała téj nieśmiertelnéj aryi, jak powinna, stąd wszczął się zgiełk niezmierny, który wpłynął jak najgorzéj na sztukę. W trzecim akcie noc rospościera swe skrzydła, widać zamek Stirling na skale, który dobywać mają Robert Bruce i Douglas. Przez połowę aktu tańczą według motiwów z Mojżesza (!), według kompozycyi Rossyniego ułożonéj w roku 1824. dla pewnego bogatego kolonisty i nakoniec według kantaty tegoż mistrza odśpiewanéj na weselu Rothschilda. A więc nie było nic szkockiego. Po ukończeniu sextetu przerobionego z kwartetu z Bianki i Faliero, idą rycerze do szturmu, mury padają, a Marya wraca w objęcie ojca. Chór bardów zakończa całą sztukę. Smutnym był wpływ, który pozostawiła ta sztuka, bo okrom niektórych wyjątków wybornych z dawnych oper, całość jest zeszpecona.

W tych dniach Berliozowi dali wielki wieczór przyjaciele jego. W ciągu dni czternastu wykonano

dwa razy nową jego kompozycyę: la damnation de Faust, która ma wiele pojedyńczych miejsc wybornych, ale całość niepodobała się publiczności. Berlioz nie ma wielu przyjaciół w Paryżu, ale zato wielbiciele jego pracują za wszystkich. Nie pytając o resztę artystów, wynoszą go pod niebiosa. Bourges, zdatny recenzent w muzykalnéj gazecie, d'Ortigues dotychczasowy redaktor dziennika France musicale i Morel, feletonista przeglądu nowego (revue nouvelle), należą do systematycznych wielbicieli Berlioza.

Pierwszą nagrodę za wyborną grę na skrzypcach otrzymał w konserwatorium paryskiém Henryk Wieniawski, warszawianin, mający lat dopiero jedenaście. Właśnie przybyła przypadkiem matka jego w tym samym dniu uwieńczenia do syna, którego od trzech lat niewidziała. Jakaż radość matki była na widok syna wychodzącego z palmą zwycięztwa, z młodzieżą o drugie tyle starszą od niego.

W sztuce plastycznéj teraz celuje pan Sohn, który arcydzieła rzeźbiarstwa kopijuje z nadzwyczajnym skutkiém. Marmur i bronzy zbyt są drogie, a gips jest niestósownym do oddania najdelikatniejszych rysów, które nadają posągowi życie i wyraz. Pan Sohn za pomocą plastycznéj massy, którą sam wynalazł, naśladuje wybornie wyraz mocy i delikatności marmuru. Cudzoziemiec w Paryżu nieraz się dziwi tylu porozstawianym w pokojach arcydziełom rzeźbiarskim z marmuru, temu zbytkowi i przepychowi upowszechnionemu i dowiaduje się w końcu, że te na pozór niezmiernéj wartości posągi, są wyrobione z massy plastycznéj wynalezionéj przez Sohna, który ma dwa wielkie składy swych płodów na passage de l'Opera. Nowy ten rodzaj plastyki, może się przyczynić do upowszechnienia uczucia piękna pomiędzy massą ludu.

ROZMAITOŚCI.

Anglicy w Genewie. — W Genewie mieszka bardzo wielu Anglików, którzy łapią forele i szczupaki we wielkiém jeziorze genewskiém. Gdy niedawno w Genewie była rewolucya i strzelano po ulicach niemiłosiernie, Anglicy temu się nadzwyczaj ucieszyli, bo im przerwano ziewanie. Biegli więc ze wszystkich hotelów do hotelu des Bergues, który był położony śród bojowiska. Anglicy chcieli się przypatrzyć w bliskości rewolucyi. Za mężczyznami poszły i żony i córki. Mężowie patrzeli przez perspektywy, żony zaś i córki zapisywały wszystkie wypadki do książki, lub rysowały różne sceny. Nagle grad kul karabinowych wpadł do pokoju zapełnionego Anglikami. Powstały Angielki i zaczęły skrzętnie zbierać kule i chować do swych torb podróżnych, jedna nawet dobyła scyzoryka i nim wykrawała kulę z podłogi. Śród téj roboty wpadła oknem kula armatnia sześciofuntowa i utkwiła w ścianie. Każda z Angielek ubiegała się o jéj posiadanie na pamiątkę. Lecz gospodarz założył swe weto i oświadczył, iż niepozwoli wydobyć téj kuli ze ściany, bo ona stanowić będzie ozdobę pamiętną w hotelu. Ale jak zaczęła go szczególniéj jedna prosić młoda Angielka, tak się nareszcie Szwajcar udobruchał, kazał wydobyć kulę armatnią ze ściany i zanieść za nią do jéj mieszkania.

— Często z gorzkim żalem lub naigrawaniem się występują przeciw modzie naszych czasów, według któréj damy ukazują się z odkrytemi ramionami, jak gdyby prawda nie była lepszą od kłamstwa, lub moda teraźniejsza rzeczą zupełnie nową. Za czasów dyrektoriatu pokazywały się sławne kobiety w towarzystwach ubrane tylko w lekką przezroczystą gazę, nie mając na nogach pończoch. Pewnego wieczora weszła pani R. do salonu tak lekko ubrana, że kształt całego ciała, można było dostrzedz, bo wówczas gorsetów i t. d. nie znano. Obecni mężczyzni założyli się o wagę tego ubioru, a pani R. udała się do budoaru pani domu. Suknie, trzewiki, kwiaty we włosach, razem ważyły tylko ćwierć funta.

— W Niemczech, gdzie szlachta zawsze wielką odgrywała rolę, znajdują się dwa pokolenia, śród których nie masz szlachty, są niemi siedmiogrodzcy Sasi i Ditmarzowie, którzy także są potomkami Sasów. Nawet zastępca całego kraju siedmiogrodzkich Sasów, tak zwany hrabia narodowy, jest prostym obywatelem, tak jak każdy inny Sas. Niedawno zmarły hrabia narodowy nazywał się poprostu Jan Wachsmann. Szlachta pomiędzy Ditmarzami już w 13. wieku po Chrystusie została przez chłopów z kraju wygnaną, a póżniéj szlachta holsztyńska nopróżno kusiła się o zdobycie tego kraju. Ditmarzowie są równi pomiędzy sobą, ale spoglądają na sąsiednie kraje z pewną dumą, tak jak mieszkańcy staréj Kastylii w Hiszpanii.

— Znaną jest powszechnie rubaszność Amerykanów, ale dla kobiet są bardzo grzecznymi. O tém przekonał się niedawno pewien Anglik w teatrze w Nowym Jorku. W pierwszéj loży wybrał sobie na przodzie najwygodniejsze miejsce i rospościerał się bardzo szeroko, jak to zwykli czynić Anglicy. Niebawem wszedł jakiś mężczyzna z damą i prosił Anglika, aby ustąpił miejsca téj damie, John Bull tylko mruknął, ale się nie umknął. Co robi towarzysz damy. Idzie

na brzeg loży i opowiada głośno parterowi o swym sporze i niegrzeczności Anglika. Churmem sypnęli się wszechwładni Amerykanie i tak długo nastawali na Anglika, aż mimowolnie opuścił teatr.

— Dawni podróżni, którzy zwiedzali Brazylią, opowiadali o przebywającym w tamecznych wodach potworze, nazywanym Minhocao, który przebywać ma w najgłębszych jeziorach, a mianowicie w prowincyi Goyas, i porywać konie, woły i t. d. Nowsi badacze natury słyszeli wprawdzie o tym potworze, ale uważali to za bajkę, aż naturalista Natterer w stojących wodach Rio de Madeira odkrył olbrzymi potwór, który nazwał lepidozirem i który ma być owym bajecznym Minhocao. Środek ma trzymać pomiędzy rybami i płazami, a uczeni są w kłopocie, w któréj go klassie pomieścić stworzeń.

— Wiadomą jest rzeczą, że Napoleon miał zamiar wystawić dla króla Rzymu nie długo po przyjściu jego na świat, piękny pałac, a w miejscu, gdzie miał być postawiony, zawadzał podupadły dom biednego szewca Simona, który z początku żądał za niego 20,000 franków, a potém podwyższył tę summę do 60,000 franków. Cesarz ofiarował mu 50,000 franków, ale uparty szewc nie chciał ich przyjąć, plan zmieniono, a w końcu nawet go niewykonano, z powodu zaszłych wypadków. Gdy się dowiedział Simon, że domu od niego cesarz nie chce kupić, zniżał cenę od roku do roku, aż za restauracyi otrzymał zań 150 fr. Tym wypadkiem jednak tak się zmartwił, iż postradał rozum i żył do przeszłego roku w domu obłąkanych przez lat 30.

MODY.

Paryż, dnia 13. Stycznia 1847.

Chociaż wiemy, że u was wcale się na bale w tym roku nie zanosi, jednakowoż dla zaspokojenia ciekawości donosimy, jakie tu w Paryżu zaszły odmiany pod tę porę w balowych sukniach. Suknie z tulu i krepy z podwójnemi powłokami zawsze się jeszcze podobają, obrzeżone są haftem łańcuszkowym lub złotemi sznureczkami. Wstążki tkane złotem lub srebrem przechodzą od talii aż do końca wierzchniej powłoki, która dosyć jest krótka, albo kończą się w kokardy z długiemi końcami, które zachodzą aż do połowy powłoki spodniéj. Stanik jest sfałdowany, a rękawy greckie ujęte są wewnątrz w kokardę z wstążek. U brzegu stanika powtarza się ten sam haft, jak na powłoce, ale w mniejszym rozmiarze.

Inne suknie zupełnie coś nowego przedstawiające, są z krepy lub tarlatanu o wielu falbanach, oszyte zćmionem śrebrem lub złotem. Falbany te są rozmaitéj szerokości. Pierwsza jest największa, drugie są coraz węższe.

Wiele sukien tulowych orzucają rolkami atłasowemi, które na powłokach w rozmaity sposób są układane. Staniki zawsze są u nich fałdowane.

Na sukniach kitajkowych i morowych, a nawet na tulowych znajdujemy wystrój z bufek tulowych, a bufki są większe niż w przeszłym roku.

Suknie spodnie, które noszą do lekkich sukien, są albo z kitajki włoskiéj, albo z atłasu, wystrój zaś, z rolek lub wstążek, musi być atłasowy.

Strój głowy do lekkich sukien może być jeszcze z czegoś innego zrobiony, jak z kwiatów lub girland. Ostatnie daleko zupełniejsze noszą, aniżeli dotąd, a szczególniéj na tylnéj części głowy.

Ranne negliże są tak piękne, że je przez cały dzień możnaby nosić. Przykro bowiem jest rozstać się w dalszéj porze dnia z temi pięknemi czepeczkami koronkowemi, z podszyciem różowem lub niebieskiem, z owemi szlafroczkami z podobnemi spodnicami, które tak wyglądają, jak je nosiły eleganckie damy w roku 1747., owemi stojącemi kołnierzami z dwóch pasków koronkowych złożonemi, z owemi nakoniec świeżemi podrękawkami, które wyglądają z pod obszernych rękawów szlafroczka.

Rękawiczki pozostają tak krótkie, jak dawniéj i ledwie dłoń pokrywają. Strój włosów odznacza się prostotą, bo tym sposobem wydatniejszą staje się piękność włosów.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór chłopczyka siedmioletniego.
2. Kapelusz aksamitny piórem zdobny. Jedwabna suknia, oszyta kunami. Płaszcz aksamitny.
3. Ubiór pięcioletniéj panienki.
4. Surdut wierzchni sukienny, podszyty jedwabiem. Krótki surdut. Pantalony w pasy.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskego i Spółki.*